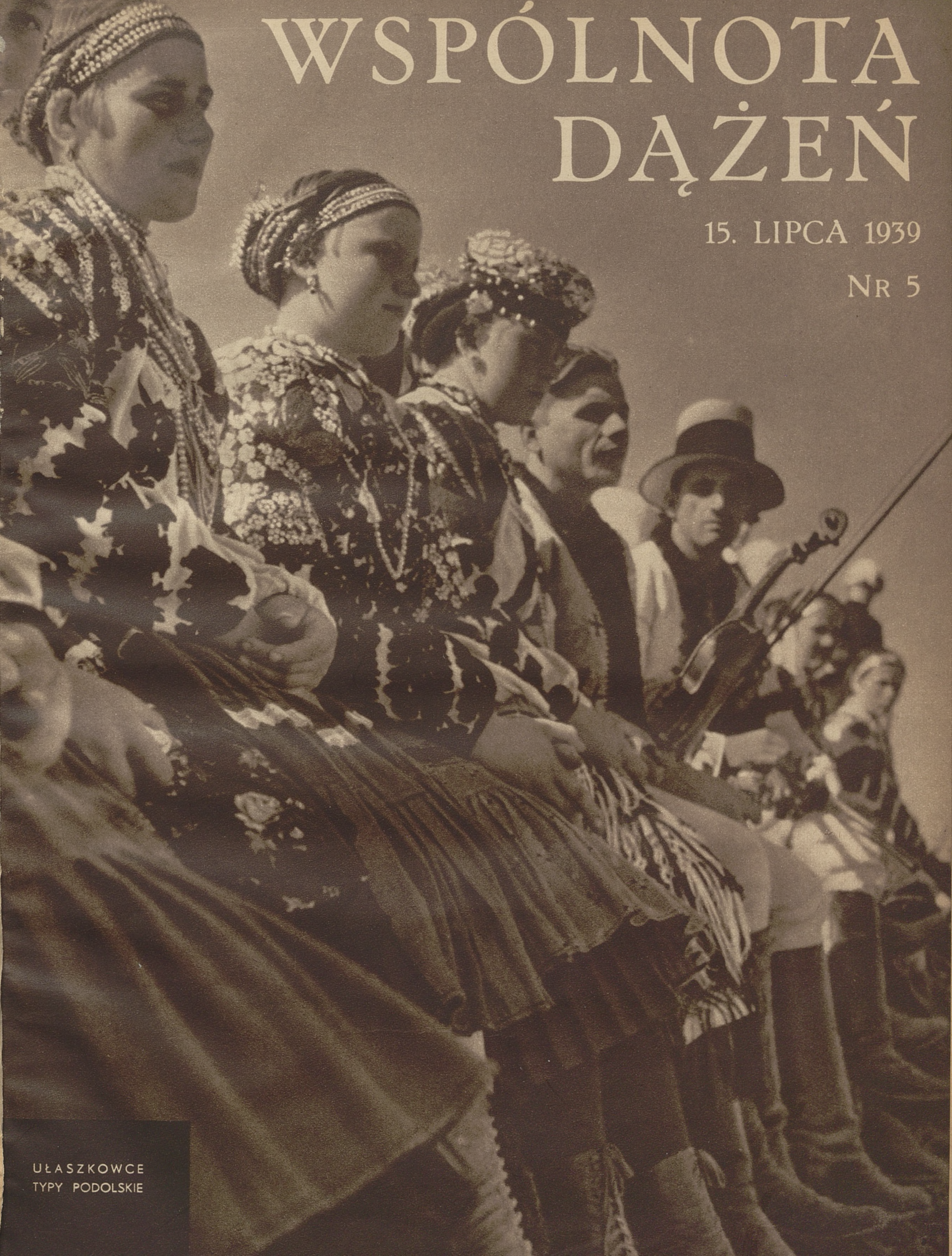


WSPÓLNOTA DĄŻEŃ

15. LIPCA 1939

NR 5



UŁASZKOWCE
TYPY PODOLSKIE

»WSPÓLNOTA DĄŻEŃ«

CZASOPISMO SPOŁECZNE KATOWICE NR 5
PRACOWNIKÓW WSPÓLNOTY INTERESÓW S. A. 15 LIPCA 1939

EUGENIUSZ SIKORSKI

R U C H T O Z D R O W I E

Referat Społeczny Wspólnoty Interesów przeżył gorące dni. Oto pomiędzy 29 czerwca a 5 lipca wysłano do wczasowisk 700 osób, a na wycieczkę „Poznaj Polskie Wody“ 400 osób, na kolonie 200 dzieci. Ogólna liczba 1.300 osób, które na przestrzeni tylko jednego tygodnia skorzystały z pomocy Referatu Społecznego w wyjeździe na dobrze zasłużony odpoczynek, to cyfra odpowiadająca 4% pracowników W. I. O ile utrzyma się w przeciągu całego sezonu letniego choćby połowa tego wskaźnika tygodniowego, to osiągniemy liczby bardzo poważne, w pełni odpowiadające naszym założeniom na wstępie całej akcji.

Szczególnie dużym zainteresowaniem cieszą się nasze wczasowiska, czego dowodem jest fakt roz-

szerzenia letniska w Ułaskowcach na sąsiednią wioskę Sosolówkę i przyłączenie do Korbielowa wsi Krzyżowa, aby móc pomieścić wszystkich letników.

Jeśli objawy te porówna się z bardzo skromną liczbą osób, które wyjechały ze Śląska poza Wspólnotą na wczasy pracownicze, to stanie się oczywistym, że na tym odcinku powstał u nas poważny ruch — ruch, który zapewni pracownikom W. I. i członkom ich rodzin wiele tysięcy dni oddychania świeżym powietrzem wiejskim, pławienia się w słońcu w górach, nad morzem i na Podolu, plaskania się w morzu, w rzekach nizinnych i górskich potokach. Ile to wszystko da radosnych i pięknych przeżyć, ilu jednostkom wzmocni organizm, ilu zapewni siły do dalszej wytężonej pracy, tego nikt nie

Ułaskowce. Nad Seretem





Na Podolu

obliczy, ale chyba świadomość osiągniętych korzyści zapisze się w pamięci letników, wycieczkowiczów i dzieci z kolonii.

Notując ten żywy oddźwięk z jakim spotkała się nasza akcja wczasów urlopowych, pragniemy podkreślić, że atmosfera ruchu — mocnego tempa pracy, powinna znamionować wszelkie nasze poczynania społeczne. Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że akcja wczasów urlopowych, to zaspokajanie potrzeb społecznych naszego środowiska na bardzo skromnym odcinku, że jeszcze bardzo dużo jest do zrobienia chociażby tylko w zakresie wczasów w dniach pracy, aby zapewnić odpowiedni odpoczynek przez rozrywki kulturalne i sportowe. A poza zasięgiem szeroko pojętych wczasów pracowniczych mamy do rozwiązania wiele problemów gospodarczych, kwestię przysposobienia gospodarczego kobiet, organizację opieki nad dziećmi i młodzieżą itd.

Pomimo szczupłych środków materialnych, jakimi na te cele dysponujemy, akcję na tym odcinku musimy prowadzić i objąć nią jak największą ilość osób, bo każdemu trzeba zapewnić jak najwięcej chwil pięknych, które by kształtowały siłę duchową zarówno poszczególnych jednostek jak i całego na-

szego środowiska. Akcja prowadzona przez nas na każdym odcinku musi posiadać znamiona silnego ruchu i do wytworzenia tego dąży z zapalem grono współpracowników Referatu Społecznego W. I. Jest tu jednak konieczna współpraca wszystkich, którym wspólne dobro leży na sercu. Zapraszamy do współpracy nad zaspokajaniem potrzeb naszego życia społecznego. Każda organizacja i każda jednostka może tu dołożyć własną cegiełkę, a wspólnymi siłami sprawimy, że całokształt naszego życia społecznego nabierze silnych rumieńców, że zniknie wiele bolączek trapiących pracowników W. I., że w zakresie wzajemnej pomocy społecznej będziemy wciąż tworzyć nowe wartości i przodować innym, a hasło — ruch to życie będzie istotnym odzwierciedleniem naszych poczynąń.

W całej akcji społecznej organizacji i poszczególne jednostki muszą wykrzesać dużo energii, bo przecież musimy również pociągnąć za sobą różnych maruderów i niedołęgów, którzy jeszcze nie nauczyli się korzystać z uśmiechów losu i np. teraz zamiast spędzać urlop na pięknej wsi, przesypiają go w swej zadymionej osadzie fabrycznej.



Zaciekawiony małym artykułem (w drugim numerze „Wspólnoty Dążeń“) p. t. „Spotkamy się nad morzem“ — postanowiłem sprawę zbadać.

Wydawało mi się, że cała ta historia z pawilonami jest nieco przekolorowana, skoro uświadomiłem sobie, że ludzie — są ludzie, że mają skłonność do przesady i że cała współczesna atmosfera trąci wzajemnym bujaniem.

O ile jednak moja gotowość do badań była zupełna — o tyle jasnym jest, że aby coś osądzić

i napisać — trzeba naprzód wszystko zobaczyć. Ale na tym właśnie punkcie sprawa była mocno skomplikowana, bo należało pojechać wreszcie do tego Chłapowa, a nie było to takie proste, kiedy po przeszukaniu wszystkich kieszeni marynarki i spodni (kamizelki nie noszę z zasady), portfelu, szufład w biurku i szafie oraz większej ilości zakurzonych pudełek stwierdziłem, że o wyjeździe mowy nie ma — bo monety jest za mało. Ponieważ nie mam bogatych krewnych, którzy mogliby mi służyć doraźną pożyczką w zawrotnej wysokości brakujących 11 zł i 80 groszy — sytuacja stawała się tragiczna, gdyż byłem obowiązany dostarczyć do numeru piątego dwa reportaże w tym jeden z Chłapowa — a ostatecznie zdawałem sobie sprawę z tego, że artykuł złośliwy (a taki postanowiłem napisać) musi mieć pewne uzasadnienie i nie sypie się go z rękawa, że coś trzeba widzieć, stwierdzić — no i wreszcie redakcja nie da się kiwnąć czym bądź. Na dobitkę przypomniałem sobie, że od redakcji nic mi się już nie należy za artykuły poprzednie. Nie było rady innej — tylko gdzieś dopożyczyć. Pod jakimś złym znakiem rozpoczęła się dla mnie ta chłapowska impreza, bo — szkoda mówić — ale na zmobilizowanie piętnastu złotych straciłem 48 godzin, choć były dopiero dwa dni po pierwszym. Przeklinałem głupią gospodarkę moich znajomych, jazdę, Chłapowo, morze, artykuły a najwięcej redakcję. Był moment, że chciałem cisnąć wszystko w pierony i nie jechać. Ale musiałem.

I raid mój się rozpoczął.

* * *

W nocnym pociągu spałem źle. Naprzód pokłóciłem się z jakimś grubym panem o miejsce, bo on

chciał spać na dolnym — a ja też. Ostatecznie ustąpiłem ze względu na brzuch tego jegomościa (trzeba mieć sumienie) — byłby go bowiem nie wywindował na górną półkę. Zdrzemnąłem się. Zbudził mnie konduktor. Potem jakaś młoda i wcale przystojna pani (wsiadła w Poznaniu) hałasowała do spółki ze swoim ratletem. Potem znów kontrola biletów. W Gdyni zaczął mnie tarmosić z grzeczności ów gruby pan, bo myślał, że ja też wysiadam. Wreszcie w Hallerowie miałem awanturę z szoferem taksówki. Psiakrew!! byłem wściekły!

* * *

Do Chłapowa dojechałem ponury jak noc. W sercu miałem pomstę. Nareszcie jestem na miejscu. Wita mnie kierownik obozu, młody człowiek. Wymieniamy nazwiska. Ja robię minę urzędową. On zaprasza do jadalni. Sprytnie to zaczął a ja bez trudności dałem się zaprosić. Po śniadaniu czułem jak mnie złość trochę puszcza. Poszliśmy zwiedzać pawilony. Patrzyłem na wszystko okiem krytyka i znawcy, zadawałem pytania, czyniłem uwagi, coś tam złośliwie wyszukiwałem, ale w duszy musiałem przyznać, że tu dobrze każdy kąć obmyślono. Dwa ogromne budynki piętrowe, czyściutko wykonane z świeżego, jasnego drzewa. Pachną żywicą. Z otwartych krużganków „niekrepujące“ wejścia do pokojów, wygodnych i wesołych. Takich pokoi — po 26 w każdym pawilonie. Z okien widok na morze. Okna spore. W tak zwanym pawilonie dolnym, w parterze dwie wielkie jadalnie. W połowie każdego piętra obszerny hall otwarty, gdzie można tańczyć i grywać w szachy. Radio zainstalowane. Daj mi Boże tak mieszkać. Złość puszczała coraz więcej.

Idziemy szukać letników. Właśnie po śniadaniu cała banda gra w siatkówkę. Witam się i nie wiem z kim mówię, bo po portkach kąpielowych trudno mi poznać zawód ich właściciela. Ale tu jest to obojętne. Natomiast płęć rozróżniam nieomylnie.



Trafiliśmy na początek meczu: panie — panowie. Oswajam się, wyciągam z torby aparat i strzelam zdjęcia sportowe. Słoneczko grzeje. Czuję się coraz lepiej a resztki złości konają w moim żołądku. A bractwo tymczasem wyje, ryczy, dysze i klnie zło podania piłki. Mecz kończy się przygniatającym zwycięstwem pań. Po meczu większość gna po stromym brzegu ku morzu. Ja — za nimi. Nie pamiętam kiedy się rozebrałem i znalazłem w wodzie.

A kiedy miałem brzeg trzysta metrów za sobą, kiedy poczułem bezmiar nieba nad sobą a pod sobą głębię morza — złość spłynęła po kolanach i piętach gdzieś daleko — do diabła.

Puścił się za mną jeden z młodych letników. Poczekałem aż mnie dogoni a potem płynęliśmy wolno gawędząc swobodnie.

Tymczasem reszta chlapała się przy brzegu, tańczyła się w piasku i wariowała na wesoło.

Kiedy kończył się miły dzień nad Wielką wodą przyjechał po mnie z Hallerowa ten sam szofer, który wiozł mnie rano. Ale — był mi teraz dziwnie sympatyczny.

W wagonie nie robiłem awantur. Oddałem bez strzału miejsce wygodniejsze jakiemuś chudemu panu w okularach. Bawiłem rozmową moją sąsiadkę w latach sześćdziesiątych i dawałem cukierki jej małemu wnuczkowi. Konduktora poczęstowałem papierosem, gdy o drugiej w nocy zbudził mnie przy kontroli biletów. Nic mnie nie irytowało. A potem spałem — spałem aż do Katowic.

Chciałem pisać złośliwie. Właściwie — to sam teraz nie wiem czemu tak chciałem. I nie dałoby się. Musiałem napisać prawdę, że chłapowski brzeg jest śliczny, że ludziskom jest tam strasznie dobrze i że — morze leczy.

A przecież ja tam byłem tylko jeden dzień.

MISTER

N A S I H A R C E R Z E



Młodzież harcerska, pomimo przypadającej akcji letniej, wykazuje na swoim terenie żywą działalność.

Drużyna harcerzy przy hucie „Zygmunt“ obchodziła w dniu 25 czerwca r. b. swoje dziesięciolecie. Przebieg uroczystości był imponujący. Młodzież okolicznych drużyn już w sobotę rozpoczęła obozowanie. Przy wieczornym ognisku, pełnym urozmaiceń, wygłosił aktualną gawędę wysłannik Referatu Społecznego.

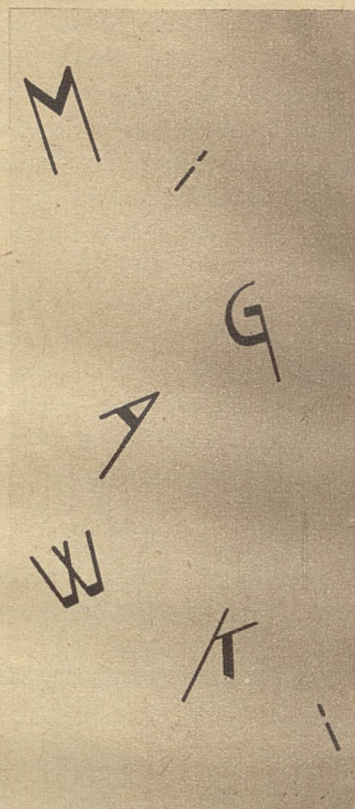
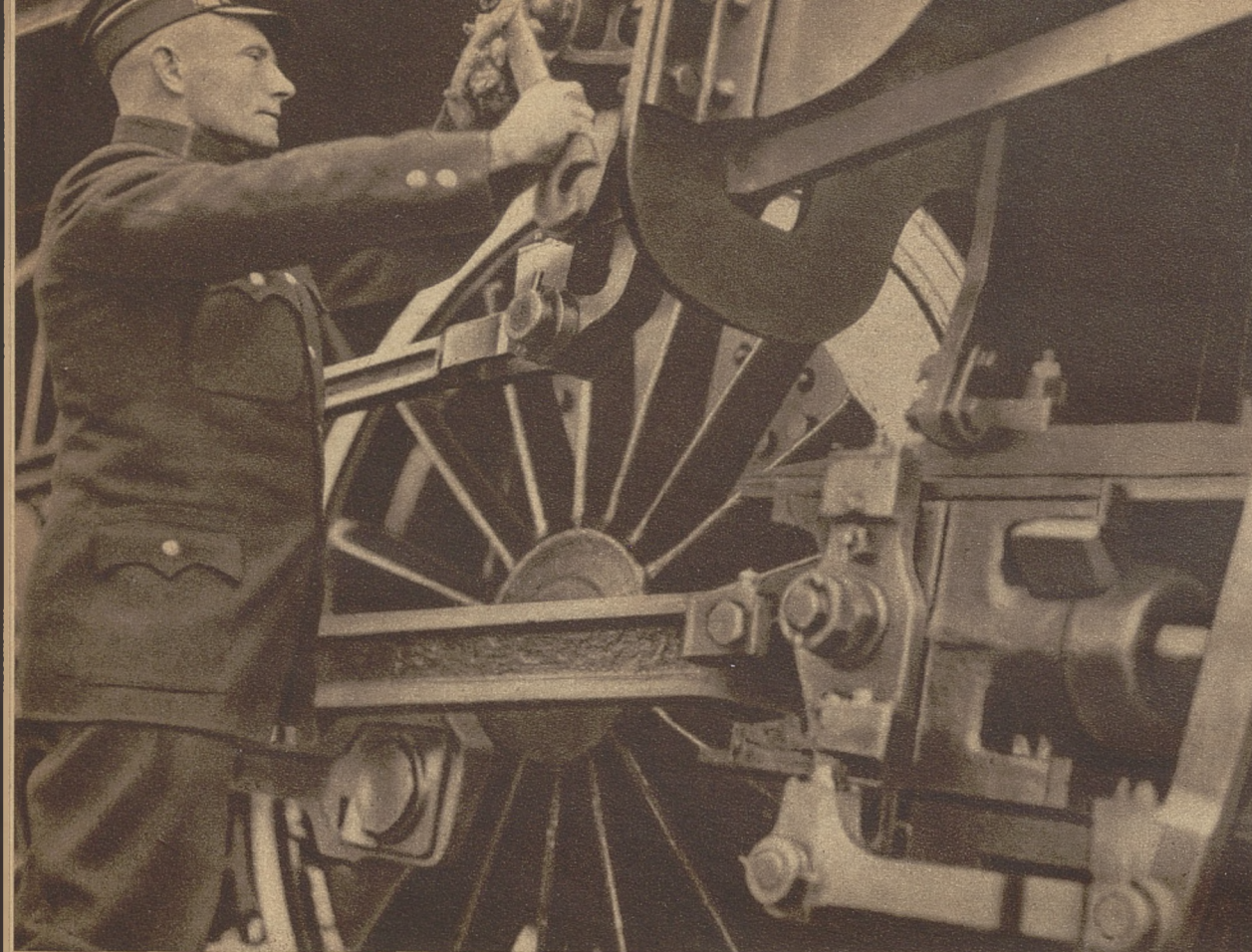
Niedzielne uroczystości rozpoczęły się zbiórką i raportem na boisku szkolnym. Po nabożeństwie odbyło się złożenie wieńca na płycie Nieznanego Powstańca oraz nastąpiła defilada przed miejscowymi władzami. Po południu wszyscy harcerze stanęli do wielkiego biegu harcerskiego, ilustrującego całość pracy harcerskiej na poszczególnych odcinkach życia społecznego. Całość zakończyła zabawa ludowa.

Wspomniana drużyna wyjechała w następnym dniu na obóz do miejscowości letniskowej W. I. — Podhorodce.

Kilka dni potem wyjechała drużyna z H. B. do tej samej miejscowości.

Wiele drużyn z hufca świętochłowickiego wyjeżdża w obecnym sezonie na obozy. Również drużyny z Leszczyn i Dębieńska ruszają na obóz (Łomna).

Wszystkim życzymy szczęśliwych łowów i oczekujemy wieści z szerokiego świata.



Katowice, 3. VII. 1939.

Zdążyłem na dworzec na jakiś kwadrans przed wyjazdem P. P. W. w drogę. Piszę skrótem bo każdy zdaje się wie, że oznacza to hasło wycieczki „Poznaj Polskie Wody“. Są tacy, którzy skrót ten interpretują „poznaj polskie wódki“... i może nie są bez racji, ponieważ uczestnicy poprzednich wycieczek starali się całym sercem o wypróbowanie napojów mocnych w różnych miastach i w różnych gatunkach. Podobno najlepsze są... ale — zapominam się!...

A więc zdążyłem na jakiś kwadrans przed wyjazdem P. P. W. Na razie idę wzdłuż pociągu i liczę na oko ładunek. Jest pełnych dziewięć pulmanów w tym siedem turystycznych, jeden służbowy (dla dowództwa, lekarza, prasy i gości) i wóz kąpielowy. Ważny w takich wypadkach bar rozparcelowano na trzy przedziały. Nie wątpię, że w tych trzech przedziałach bez względu na temperaturę dnia będzie ruch, aby był w narodzie duch.

Obliczam towarzystwo na 360 ludzi z dodatkami i pochlebiam sobie, że trafiłem nie najgorzej, bo mi to potwierdził kierownik wycieczki, który lecąc jak burza dał mi informacje na przestrzeni trzech metrów biegu i pognął dalej jak opętany.

Oby mu dobry Bóg dał siły wytrzymać... bo ja

bym się na taki interes nie zgodził za żadne pieniądze.

Wchodzę do wozów. Hałas i harmider. Zajmowanie miejsc. Wagony i przedziały wprawdzie podzielone ale jakże tu od razu trafić w sedno. Ten nie chce z tym — a już najgorzej, że — ta nie chce z tamtą jechać. Tam ktoś komuś siadł na nowy kapelusz, ten znów innemu włożył na odciski, tu zbił się termos z zimną kawą, tam złamano parasolkę a tam wreszcie zgubił ktoś książeczkę kuponową — a wszystkiemu winien kierownik wycieczki... Tego kierownika — tośmy przewali „rabbim“ niby dlatego, że naród wybrany po ziemiach dużo obiecujących wodzi. Że też on się zdecydował na to...

Wreszcie po dziesięciu minutach wrzawy — osłabli wszyscy i wiem, że jak zaczną jechać to się uspokoją zupełnie. Teraz czekają już na odjazd.

Panowie trzymają się w możliwej formie. Panie podrygują nogami. Jeszcze parę zleceń tym, którzy odprowadzili swoich a teraz stoją przed oknami wagonów. Potem głośne: „proszę wsiadać“!! — i pociąg rusza. Pojechali. Jutro będą w Gdyni a pojutrze w Chłapowie.

Wracam, bo trzeba to i owo załatwić, ale dopędzę ich nad morzem.

Chłapowo, 5. VII. 1939.

Jestem tu znów po kilku dniach. Łażę po terenie i nic nie robię. Ruch zaczyna się tu dopiero około ósmej bo ludzie odsypiają zaległości i wstają dość późno. Tuż przed dziewiątą pozbierano wreszcie wszystkich do wspólnej modlitwy i do podniesienia sztandaru.

Wycieczka P. P. W. jest meldowana na godzinę dziesiątą, więc jeszcze dużo mamy czasu — ale gdzie tam. Oto właśnie zauważamy prujący się ku nam od strony Władysławowa kuter. Lorneta do ręki i stwierdzamy, że statek jest wyładowany ludzkim towarem. Po kwadransie kuter zaczyna wyrzucać na naszą plażę swój żywy bagaż. W trzydzieści minut później 380 ciał przeróżnych wymiarów, tuszy, płci i wieku zapełnia piaszczysty brzeg.

Sto pociech ma człowiek z taką bandą, co całymi latami nie widzi na Śląsku porządnego stawu lub gniecie się w ciasnych, sztucznych basenach — a teraz nagle dorwała się przeczystej morskiej wody i to w takiej zawrotnej ilości.

Toteż najstarsi nawet zachowują się jak dzieci, bo morze i słońce i ta nieograniczona swoboda uderza im lekko na mózg zmęczony i wprawia w niewinny szal. Więc biegną wzdłuż wody jak gdyby chcieli stwierdzić prawdę, że są tu rzeczywiście, że wody jest bezmiar, że to nasza woda, nasza własna mor-

ska woda. Inni siedzą lub stoją z oczyma wlepionymi w fale, grzejące się na słońcu. Tam troje dostało silnego obłędu radości, bo wykopali tuż przy wodzie małą jamkę i dłońmi złożonymi przelewają morze w dołek. Tu znów zakopują kogoś żywcem w piasku. W wodzie wrzask. Skaczą i obryzgują się wzajemnie. Śmielsi wypłynęli nieco dalej lecz trzymają się w bezpiecznej odległości. Jakieś panienki chcą koniecznie chwytać kubkiem — wieloryby.

A na pagóreczku tuż nad plażą — siedzi para starszych. Oboje już siwi. On ją objął miłostnie i mówi cicho: Widzisz mamusko... jak tu pięknie... mój Boże...

I zaklinam się, że przeszedłem za nimi cichutko, aby ich nie spłoszyć, bo dla nich było to wielkie święto. I to wiem, że morze przypomniało im najśłodsze chwile młodości. Bo morze jest wiecznie młode.

* * *

Wywrzeszczeli się, wyharcowali i poszli zjeść jakieś tam drugie śniadanie. Naśmiecili wprawdzie złotymi skórkami piklingów — ale niech im tam będzie...

Poszli wreszcie.

W obozie stało się ciszej.

A ci co wrócili na pociąg, by jechać dalej po miłym naszym Kraju zachowali tych parę godzin pobytu na morskiej swobodzie we wdzięcznej pamięci.

Sportowa banda z Chłapowa.





H O Ł D P R U S K I

JAN MATEJKO

Po klęsce grunwaldzkiej Zakon Krzyżacki nie odzyskał już nigdy swojej dawnej siły, ale zręczną i chytrą dyplomacją utrzymywał się przy życiu nie przestając myśleć o odwecie. Postanowiono unikać wielkich bitew po ostatnim doświadczeniu i w najbliższej wojnie, która wynikała z winy Zakonu przyjęto system głodzenia nieprzyjaciela. Niewiele to jednak pomogło i musieli Krzyżacy znów prosić o pokój (1422). Ale niedługo, bo w dziewięć lat później wykorzystali sprytni zakonnicy trudności Polski na wschodzie (1431) i strasliwym napadem zniszczyli Kujawy i ziemię Dobrzyńską co doprowadziło do wojny z nimi (1433), po której znów wyznaczono łaskę dla Zakonu. Jednak sympatie dla Zakonu na Zachodzie uległy tymczasem zasadniczej zmianie a w r. 1440 miasta pruskie i szlachta oderwały się samowolnie od Zakonu i uroczystym aktem wcielono ziemie niegdyś zrabowane do Polski, nadając im samorząd i przywileje handlowe.

Spokoju jednak nie było. Nagle wybuchła trzynastoletnia wojna z Krzyżakami (1454—1466) podczas której króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka wspierały dzielnie zjednoczone w Związku miasta pruskie a przede wszystkim Gdańsk. Ostatecznie zwycięstwo Polski pod Puckiem i zdobycie Chojnic, ostatek twierdzy krzyżackiej, doprowadziły do zawarcia pokoju w Toruniu (1466) przy czym Zakon musiał zgodzić się na ciężkie warunki. Pomorze, wydarte niegdyś Polsce, zachodni pas Prus z Malborkiem i Elblągiem tudzież Warmia i ziemia Chełmińska wróciły bezpośrednio do Korony. Reszta ziem pruskich stały się lennem polskim a W. Mistrz miał składać hołd królom polskim.

Może teraz dopiero zebrano częściowo plony bitwy grunwaldzkiej. Odzyskano bowiem ujście rzek polskich i litewskich co było niezmiernie ważne ze względu na spław zboża i drzewa ku Gdańskowi, który teraz stał się stolicą województwa pomorskiego.

Ziemie należące do Polski nazwano Prusami Królewskimi zaś przydzielone Zakonowi Prusami Wschodnimi albo Książęcymi.

W r. 1525 W. Mistrzem był krewny króla Zygmunta I — Albrecht Hohenzollern, książę brandenburski. Swoimi mactwami zmusił milującego pokój króla do wysłania wojska i zajęcia znacznej części Prus Książęcych. Ponieważ równocześnie w Niemczech szarżył się ruch reformatorski (luterński) a to przyczyniło się znacznie do ostatecznego rozprężenia Zakonu, Albrecht zaś po ufracie nadziei na pomoc ze strony Niemiec i cesarza uznał swój jedyny ratunek w oparciu się o Polskę, postanowił zrzucić suknie zakonne i za pozwoleniem króla Zygmunta stać się księciem świeckim, podległym Polsce. Zmuszono go przy tym do złożenia królowi hołdu, co stało się w r. 1525 na rynku krakowskim.

Tak powstało dziedziczne Księstwo Pruskie. Powstało z litości, łaski i woli królów polskich, bo trudno szukać w tym jakichkolwiek korzyści politycznych. Powstało aby po śmierci bezdziedzielnego Albrechta stać się dziedzictwem przyszłych cesarzy Niemiec za zgodą polskiego króla, nie przeczuwającego podstępnych zamiarów ambitnych Hohenzollernów, którzy po wygaśnięciu linii Jagiellonów rościli sobie bezczelne pretensje do korony polskiej jako krewni Albrechta.

Instynkt i boży los ustrzegły nasz Kraj przed tymi gospodarzami.



TAKA SOBIE POWIASTKA...

Był czerwiec r. 1917.

Przebywałem wówczas z konieczności w Kereńsku, małej mieścinie powiatowej a należącej wtedy do gubernii penzeńskiej, jednej z tych gubernii świętej matuszki Rosji, o których się mówiło, że ma ziemię dobrą i że wystarczy kijem tę ziemię „sparpać“ aby była gotowa do zasiewu i rodzenia zboża. I byłoby dobrze, gdyby nie to, że nadeszły czasy, co niepokój wniosły na ruski świat i burzę wielką zapowiadały. Burza wybuchła w listopadzie — a na razie jakoś się żyło. Mieszkaliśmy w dużym, przerobionym z restauracji, jednopiętrowym drewnianym domu, mocno zapluskwionym, o małym oknach, sporych izbach i zwariowanie stromej klatce schodowej. Małe podwórze i dość duży sad były przydatkami do tego pałacu, który w tej chwili służył za kwartę trzydziestu pięciu oficerów-jeńców, rozmaitych stopni i wieku. Najstarszym i przełożonym był kapitan M., ziemczony Kroat, a jego zastępcą drugi kapitan Z. (w przeszło dwadzieścia lat później dowódca pułku strzelców podhalańskich w Bielsku). Ci dwaj byli oficerami służby czynnej. Reszta — to porucznicy, chorążowie i kadeci — sama „rezerwa“ — ta rezerwa, bez której nie odbędzie się żadna wojna świata. W tejże rezerwie wielka była ilość różnych zawodów tak, że towarzystwo tworzyło niezwykle oryginalny zespół a ponieważ jako Polacy byliśmy w znakomitej większości (29 : 6) znano nas w miasteczku pod nazwą *polskaja kwartira*.

Popularność mieliśmy ogromną, lecz nie dla zasług. Znano nas z mniej lub więcej mądrych kawałów, które do rozpaczki doprowadzały miejscowych mężów i miejscowe matki, bo żaden z tej bandy na

świętego nie kandydował. I że dotychczas wszystko przechodziło gładko zawdzięczaliśmy jedynie naszej władzy najwyższej, pułkownikowi, który się zwał Piotr Iwanowicz Masłow i który rządził miastem. A miał ten chłop do nas słabość, bo kiedyś, dawno, jako porucznik w Warszawie służył, tam się bawił, tam się kochał, i stamtąd żonę Polkę miał. A oboje mieli córkę, której z woli matki było na imię Zosia. I była ładna. I miała osiemnaście lat. Ha! Tu gwóździ!

A Śirca (czytaj Szirca)? Słoweniec, młody przystojny porucznik, dobry oficer, przy tym skromny, pierwszorzędny kolega i w ogóle jak się to mówi — dżentelmen, a po naszymu — morowy chłop.

Kiedy się z Zosią poznali — nikt z nas nie wiedział. Kiedy się widywali — wiedziała tylko matka Zosi. Śirca krył się z tym przed nami, choć wszyscy widzieliśmy jak w oknie stał godzinami, by zobaczyć miłą panienkę jadącą z matką w bryczce. Trwało to gdzieś od marca i nie dziw, że nasz koleżka był właśnie w pełnym ogniu. Przypuszczaliśmy także, że stary pułkownik — jeśli się dowie — strzeli Śircy w łeb a Zosię z matką gdzieś światami wywiezie. Ale oni dwoje świata bożego nie widzieli poza sobą.

Aż stało się nieszczęście. Pewnego dnia czerwcowego, a była może czwarta po południu, nasz porucznik stał w oknie i czekał na bryczkę, co od strony miasteczka wiozła jego Zosię. W rękę trzymał kwiaty, kryjąc je za plecami. Bryczka wreszcie nadjechała i wtedy Śirca nie wytrzymał. Kiedy Zosia mijała nasz dom uśmiechnął się i wrzucił kwiaty do bryczki. Potem jeszcze raz się wychylił i długo patrzył za oddalającym się wózkiem.

My udawaliśmy że nic nie widzimy.

Wtem z trzaskiem otwarły się drzwi i przed nami stanął blady, wściekły — pułkownik Masłow. Zerwaliśmy się jak oparzeni z łóżek i krzeseł czekając w milczeniu i wyprężeni jak struny co stary powie. Ale zamiast tradycyjnego: *dziękuję panom* — usłyszeliśmy słowa, które z trudem wypluwał w najwyższej pasji:

— *Thakiej hhołoty... nie wwidziałem... ja wam pokażę!...* — i wyleciał jak furia. Za nim Śirca. Lecz nie dognał starego i widzieliśmy jak stał na podwórzu skamieniały. Rzuciliśmy się do okien frontowych. Pułkownik gnał ku komendzie miasta.

Zbaranieliśmy na chwilę, bo któż mógł przypuszczać, że stary śledzi Zosię.

Śirca nie wrócił na górę i w sadzie rozpamiętywał swoją nieszczęsną godzinę. My straciliśmy humory, bo z jednej strony żal nam było chłopca, a jeśli chodziło o starego, to znając jego porywczosć, wiedzieliśmy, że potrafi dać nam łupnia tak, że się nie pozbieramy.

I nie czekaliśmy długo. Po godzinie przed dom nasz zajechały dwa wielkie wozy, wyładowane drabinami, deskami i narzędziami a z nimi przybyło

ośmiu żołnierzy. W mig przystawili drabiny i — zaczęli zabijać deskami wszystkie okna. Dokładnie. Serwus babciu! Tegośmy się nie spodziewali.

Na razie braliśmy rzecz na wesoło, ale skoro się pomyślało, że ten stary wariat może nas tak przetrzymać jak długo zechce — robiło się zimno w kolanach. Przecież to był oczywisty grób.

Nasz kolega był niepocieszony i z trudem udało się nam wieczorem wyciągnąć go siłą ze sadu, gdzie chciał nocować. Wiedział że był winien wszystkiemu. Nie tłumaczył się jednak — bo niby i jak, a my nie robiliśmy mu wyrzutów — bo i poco. Powyciągaliśmy swoje lampki, świece i *kopcilki* (puszka z konserw + knot + nafta + smród = ciemno) no i zaczęliśmy udawać, że jest już wieczór — jak gdyby nigdy nic...

Chciał któryś wyjść na miasto, lecz strażnik przy bramie go nie wypuścił. O ósmej odbyła się zwyczajna kontrola, po czym *praporszczyk* zawiadomił nas służbowo, że na rozkaz pułkownika nie mamy prawa opuszczać nawet swych izb a „na dwór“ można wyjść tylko od 9 do 9.30 wieczór. Zakupy dla kuchni będą przeprowadzane pod kontrolą i nie wolno nam kupować mięsa, tłuszczu, mleka, oleju i jeszcze innych piętnastu choler. — Ha! to był naprawdę wielki gwóźdź...

Kiedy *prapor* wyszedł zrobiło się cicho. Śirca chwilę poczekał a potem wypadł do sadu.

Minęło już siedem dni, a każdy z nich był nocą przez cały dzień. Paradoks, ale tak było. Wietrzyliśmy izbę tylko przez drzwi, wywijając ręcznikami, ale więcej od tego było kurzu w powietrzu. A przy tym te lampy, ta nafta — można się było wściec. Nie chcieliśmy jeść. Tak. Pułkowniczek „pokazał nam“.

Tymczasem nasz wywiad działał. Wiadomości szły kolejką: służąca pułkownikowej — ordynans pułkownika — nasi strażnicy — my. Kosztowało to majątek, ale wiedziało się, co się dzieje w jamie tygrysa: że stary cały dzień nie gada z matką i z Zosią,

że nie je z nimi razem obiadu, że co wieczór są awantury, że kobiety płaczą a stary szaleje.

Śirca chodził jak struty. My też mieliśmy tego dość. Trzeba było działać.

Nazajutrz we trójkę zameldowaliśmy się u pułkownika nie licząc się z następstwami. Przyjął nas. Staliśmy jak świece łącząc na zmianę, że jesteśmy gotowi wszyscy trzej dać się zamknąć, że Śirca wyjedzie tam gdzie pułkownik rozkaże, że burd w mieście nie będzie, że kryminałem ręczymy za spokój ze strony polskiej kwatery i — w ogóle wszystko, co było niemożliwe. Słuchał milcząc. Potem zaczął ugaśniać naokoło biurka. Potem, stojąc przy oknie plecami do nas, bardzo coś rozważał, ale wściekły nie był. Patrzyliśmy po sobie i każdy z nas czuł dobrze, że kobiety jednak coś wyszlochały, że stary zmęczył się sam i że wreszcie uznał, że bardzo po oficersku z nami nie postąpił. Czekaliśmy już długo a on ciągle myślał. Wreszcie obrócił się i krótko syknął: Zobaczą... — Stuknęliśmy obcasami.

Popołudniu tegoż dnia zajechały znów dwa wielkie wozy z drabinami i żołnierzami. W mig przystawili drabiny i stało się światło. O dniu szczęśliwy!

O szóstej wieczorem dał się słyszeć straszny hałas na podwórzu. To pułkownik, nie żałując słownika wojskowego, sztorcował konwojenta przy bramie.

A kiedy za chwilę otworzył drzwi naszej izby skożyliśmy na równe nogi i czekali wyprężeni co powie.

— Dziękuję panom — rzekł spokojnie, a potem siadł przy stole pytając jak się nam powodzi — jak gdyby nigdy nic...

O draniu stary!!

Życie wróciło do normy. Mogliśmy, jak przedtem wszystko kupować i łązić gdzie się nam podobało. Burdy były znów — i było dobrze.

A Śirca? — zaręczył się z Zosią w dwa tygodnie potem i tuż przed wybuchem rewolucji listopadowej wyjechał z rodziną pułkownika do Wołogdy.

Potem — nie wiem co się z nimi stało.

Ś W I Ę T O Ś P I E W A C Z E

W dniu 2 lipca b. r. odbyła się uroczystość jubileuszowa 30-lecia Chóru im. Moniuszki przy Hucie „Florian“ w świętochłowicach. Jest to jeden z najstarszych naszych chórów, stojący na bardzo wysokim poziomie artystycznym, który zdobył pierwszą nagrodę w pierwszej kategorii na śpiewaczym turnieju chórów W. I. w grudniu ub. r.

Uroczystość jubileuszowa rozpoczęła się powitaniem zaproszonych gości i Towarzystw muzycznych, biorących udział w uroczystości, po czym reprezentacyjna nasza orkiestra z Huty „Piłsudski“ wystąpiła z koncertem porannym.

O godz. 10-tej wyruszył imponujący pochód z 2-ma orkiestrami i 20-ma sztandarami do kościoła św. Piotra i Pawła w świętochłowicach, gdzie podczas uroczystej Mszy św. zaproszony chór Huty „Piłsudski“ odśpiewał mszę Surzyckiego. Piękne kazanie okolicznościowe wygłosił Ks. Prof. Gawor.

I znowu ulicami miasta ruszył po nabożeństwie barwny pochód z łopocącymi sztandarami. Podczas obiadu liczni przedstawiciele chórów, stowarzyszeń muzycznych, Huty „Florian“ i Centralnej Dyrekcji złożyli Jubilatowi gorące życzenia dalszej owocnej pracy na niwie śpiewaczej.

Po południu o godz. 4-tej koncert popołudniowy rozpoczęła orkiestra Huty „Piłsudski“ pod sprężystą dyрекcją Kapelmistrza p. Kuli, po czym Jubilat-Chór mieszany odśpie-

wał pieśń niedzielną z II aktu opery „Halka“ Moniuszki, z akompaniamentem orkiestry. Tym pierwszym śpiewaczym numerem programu dyrygował specjalnie poproszony pierwszy kapelmistrz tego chóru p. Poniecki. Dwukrotne rozpoczęcie tego numeru trzeba położyć na karb serdecznego rozczulenia, jakie ogarnęło członków chóru, którzy zobaczyli znowu przy pulcie swego pierwszego mistrza. Dalsze punkty programu prowadził z wielką werwą i dużym opanowaniem obecny wytrawny dyrygent p. Kandzióra.

W programie koncertu wzięły udział zaproszone chóry pozamiejscowe i połączone chóry męskie, które odśpiewały „Balladę o Florianie Szarym“ Moniuszki.

Wieczorem — na zakończenie uroczystości — odbyła się zabawa taneczna, na której goście wesoło bawili się do późnej nocy. Podczas zabawy członkowie i członkinie Chóru-Jubilata odtańczyli solowe śląskie tańce ludowe w strojach narodowych.

Redakcja na tym miejscu przyłącza się jak najserdeczniej do życzeń całego miejscowego społeczeństwa i wszystkich pracowników Wspólnoty, aby Jubilat-Chór im. Moniuszki przy Hucie „Florian“ osiągnął najwyższy poziom w swej pracy artystycznej.

Tępe.

S Z A R A D A I N D Y J S K A

Zamieszczając dzisiejszą bajeczkę zapoczątkowaliśmy kącik szarad w naszym dwutygodniku. Bajeczka ta jest bowiem szaradą a jeśli podajemy ją wraz z rozwiązaniem to dlatego, aby Państwu wykazać jak rachunek na oko zawily staje się jasny i prosty po dobrym i spokojnym namyśle.

Przykład takiego logicznego rozumowania daje w bajeczce bocian-filozof.

Posłuchajcie!

Leciało stado dzikich gęsi. Naprzeciw z trudem podfrunęła ku nim ze stawu gęś domowa i jęła wołać w gęsim zachwycie:

— Witaj, witaj... stugęsne stado mych krewnych dalekich!

Gęsior, prowodyr stada, odgęgnął:

— Nie, nasze stado nie liczy stu gęsi. Gdyby nas było jeszcze raz tyle i połowę tego, i ćwierć jeszcze tego, i ty na dodatek, to dopiero wówczas byłaby nas setka cała, ale teraz... Nie masz nic lepszego do roboty, więc oblicz, ile nas jest w stadzie?

Opadła gęś entuzjastka ciężko na wody stawu i zaczęła się zastanawiać, ile być mogło jednak tych gęsi w stadzie, które przeleciało ponad nią?! Żartobliwie rzucone przez gęsiora pytanie nie dawało jej spokoju; nie umiała jednak nawet wziąć się do rozwiązania zagadki. Naraz ujrzała na brzegu stawu bociana; laskonogi kroczył dostojnie, polując na żabki. Bocian cieszy się w królestwie ptasim sławą doskonałego matematyka: całymi godzinami nieraz przecież stoi nieruchomo na jednej nodze i rozmyśla — niezawodnie rozwiązuje zadania. Uradowała się gęś, podpłynęła do bociana i opowiedziała mu o spotkaniu ze swymi krewnymi i o zagadce, jaką jej zadał gęsior, wreszcie z pokorą przyznała, że sama nie wie, jak przystąpić do jej rozwiązania.

— Hm, hm! — zaklekotał bocian — spróbujmy razem zadanie to rozwiązać. Tylko bądź uważna i staraj się mnie zrozumieć. Słyszysz?

— Słyszę i postaram się! — odpowiedziała gęś.

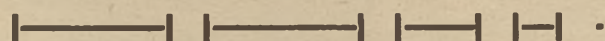
— A więc, jak ci to powiedzieli? Gdyby dodać do spotkanych gęsi jeszcze tyle, następnie jeszcze połowę tego i ćwierć tego, wreszcie ciebie, gąsko, to otrzymałoby się liczbę sto. Czy dobrze zapamiętałem?

— Dobrze, zupełnie dobrze — odpowiedziała gęś.

— Teraz uważaj, — powiedział bocian — co ja ci narysuję na nadbrzeżnym piasku.

Bocian zgiął długą szyję i dziobem przeciągnął linię, obok takąż długą, następnie połowę tej linii, potem ćwierć, wreszcie maleńką linijkę, prawie kropkę.

Rysunek tak się przedstawił:



Gęś podpłynęła do samego brzegu, wyszła na piasek, i, kołysząc się z nogi na nogę, zaczęła przyglądać się rysunkowi, lecz nic pojąć nie mogła.

— Rozumiesz? — zapytał bocian.

— Jeszcze nie! — ponuro odpowiedziała gęś.

— Oj, ty, ty! Otwórz szeroko oczy i słuchaj. To, co ci powiedział twój kuzyn, ja tu narysowałem. Jeśli do spotkanych przez ciebie gęsi dodać jeszcze takie samo stado i jeszcze pół stada, i jeszcze ćwierć stada, i jeszcze jedną gęś... Powtórz ile miało być wówczas wszystkich gęsi?

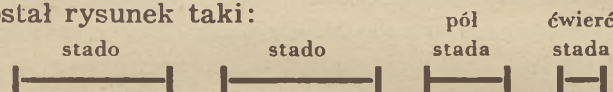
— Sto, — rezolutnie odpowiedziała gęś.

— A bez tej jednej gęsi, bez ciebie, ile by było?

— Dziewięćdziesiąt dziewięć.

— Dobrze! Usuńmy na naszym rysunku kropkę, oznaczającą ciebie, a pozostanie na rysunku jeszcze 99 gęsi.

Bocian postukał swym długim nosem i na piasku pozostał rysunek taki:



— A teraz musisz sama trochę głowę połamać — ciągnął dalej bocian, — do ćwierci stada, jeśli dodamy pół stada, ile to będzie ćwierci?

Gęś zamyśliła się, uważnie popatrzała na linie nakreślone na piasku i tak odrzekła:

— Linia oznaczająca pół stada, jest dwa razy większa niż linia oznaczająca ćwierć stada, to znaczy, że połowa zawiera dwie ćwierci. Czyli połowa więcej ćwierć to to samo, co trzy ćwierci stada.

— Doskonale! — pochwalił bocian. — No, a teraz w całym stadzie ile ćwierci.

— Oczywiście cztery! — pośpiesznie odpowiedziała gęś.

— Tak! Lecz my mamy tutaj stado, jeszcze jedno stado, pół stada i ćwierć stada, i to dopiero w sumie daje liczbę 99. Czyli jeśli przetłumaczymy wszystko na ćwierci, to ile takich ćwierci będziemy mieli?

Gęś po pewnym wahaniu tak zaczęła rozumować:

— Stado składa się z 4 ćwierci, drugie stado również z 4 ćwierci, czyli razem mamy 8 ćwierci; połowa stada — z 2 ćwierci, więc razem będzie już 10 ćwierci; wreszcie jeszcze jedną ćwierć. Wszystkich w ten sposób ćwierci będzie 11, a te równają się 99 gęsiom.

— Robisz postępy, — zauważył bocian. — Teraz powtórz mi do jakiego rezultatu obliczeń doszliśmy.

— Ustaliliśmy — żwawo odpowiedziała gęś, — że w jedenastu ćwierciach spotkanego przeze mnie stada było 99 gęsi.

— A więc, ile gęsi będzie w jednej ćwierci?

Gęś szybko podzieliła 99 przez 11 i odpowiedziała:

— W ćwierci stada będzie 9 gęsi.

— No, a teraz w całym stadzie?

— W całym stadzie mamy cztery ćwierci. Eureka! — gęgnęła z całej siły — mam rozwiązanie zagadki: spotkałam 36 kuzynów i kuzynek.

I z wielkim podziwem i dumą rodową rozmyślać zaczęła, kto bieglejším jest matematykiem: czy bocian, który zdołał to zadanie rozwiązać, czy gęsior, który potrafił je tak zręcznie ułożyć...



NASZ REPORTER

A W A N T U R A

W knajpie „Pod Gęsim Pępkiem“ siedziało przy bombie piwa — trzech mężów rośliych. Jeden — co na trąbie gra w orkiestrze Stalowni Batory. Ten drugi był górnikiem w kopalni Dębieńsko — zaś długi barczysty — trzeci — z wielkich pieców się wywodził, z Huty Pilsudski w Chorzowie — i stamtąd pochodził.

O nich trzech mówię, bo choć w koło cała wiara siedziała i gwarzyła — ci dwaj co niemiara wrzawę czynili i hałas.

O cóż im chodziło, że oczy krwią nabiegły, że łbów się kurzyło a pięściami ściśniętymi wygrażają sobie?...

Słucham...

„Pamiętaj dziadu! mówię tobie — ryczał hutnik do tego co w Stalowni grywał — że jeśli nie chcesz bym ci uszy poobrywał przestań mi baki świecić twą szlachetną stalą i nie graj pana! psiakrew! wszak narody chwała przed wszystkim stan hutnika, co z dziada pradziada rudę w piecach wytapia. Zawód to nie lada! Zaś cały wielki przemysł początek swój bierze od nas!! nie ma co gadać!! dlatego hawierze — górą hutnicy!! załoga „Pilsudski“ — niech żyje!!!

„Stulże swój dziób, ciemiego! co ta małpa wyje!“ — wrzasnął górnik. — „A co byś tak począł braciszku bez węgla, który kopię?“ może w tym kieliszku wtedy rudę wytopisz?! co?! trzęsie mnie febra gdy głupstwa pleciesz!! Bracia! policzmy im zebra i temu panu z Hajduk i temu z Chorzowa. Niech wiedzą kto na Śląsku jest pan i kto — głowa! Górą Dębieńsko!!! jazda!!! kto żyw — niechaj pierze!!!

I stało się gorąco. Ruszyli hawierze ławą. Ten w garść butelkę a tamten palicę chwycił w łapy — zaś reszta podniosła szklanice, by nimi gruchnąć w marny łeb nieprzyjaciela — i burda się zaczęła. Brakło małowiela a krew by się polała.

Wtem od rogu sali ozwał się głos potężny. Był to głos Kubali, starego emeryta, co to był sztygarem. Wydrapał się na ławę i nad ludzkim gwarem grzmiał, swoje sumiaste brwi ściągnawszy chmurnie: „Stójcie — krzyczał — pierony! wszyscyście są durnie skoro pracy drugiego szanować nie chcecie i zawiść w sercu macie! Przecie dobrze wiecie że nic tutaj nie znaczy jeden bez drugiego. Rozumiecie, hołota?! i dodam do tego: równy Chorzów Dębieńsku, Dębieńsko — Hajdukom i na odwrót. Dlatego dajcie pokój hukom, wrzawie, zwadzie i bójce — bo znacie Kubalę — za czub pierwszego z brzegu chwycę i wywałę za drzwi i wiadro wody na łeb mu wyleję!“ — Może mu to pomoże! Może wytrzeźwieje! Ustąpcie się — bo lunę!!

Krzyzcząc trząśł się cały.

Zdumieli się wrogowie, wszczął się szum niemały lecz bójki zacząć jednak nikt nie miał ochoty. Dobrze znali Kubalę. Ten — naszej Wspólnoty — weteran stary miał rację i wiedzieli dobrze, że jak śmiało przygada tak i trzaśnie chrobrze gdy obieca.

Więc jeden rzeknie do drugiego: prawdę mówi nasz starzyk! co nam przyjdzie z tego że lby sobie posieczem, wszyscyśmy są równi! a więc zgoda panowie! — Zgoda!!

Wichrzyciele główni słysząc to zwiali szybko aż tam gdzie pieprz rośnie.

A knajpa — wrzała dalej — lecz teraz radośnie krzyczeli wszyscy razem, że pękała sala

Niech żyje nam Wspólnota! Niech żyje Kubala!



DOKĄD JADĄ DZIECI

Referat Społeczny Wspólnoty Interesów zorganizował w bieżącym roku szereg kolonii dla dzieci naszych pracowników, dając im możliwość wypoczynku i leczenia w najpiękniejszych zakątkach Polski.

Do tej pory wyjechały następujące grupy dzieci:

- 16 V. b. r. — 60 dzieci z Siemianowic do zakładu leczniczego w Jastrzębiu-Zdroju.
- 17 V. b. r. — 36 dziewcząt z kopalni rudy do zakładu leczniczo - wychowawczego w Rabsztynie.
- 6 VI. b. r. — 35 chłopców z huty i stalowni „Batory“ do Górek Wielkich, którzy po 28-dniowym pobycie w beskidzkiej krainie, wrócili dnia 4 VII. b. r. zdrowi, opaleni i pełni nowych sił w rodzinny dom.
- 21 VI. b. r. — 12 chłopców wyjechało dodatkowo do Górek W., gdzie pozostaną do końca lipca.
- 27 VI. b. r. — 40 chłopców z kop. Łagiewniki i Mysłowice wyjechało do Sromowiec, w okolicę przepiękną i zdrową, u stóp Pienin położoną.
- 28 VI. b. r. — wróciły dziewczynki po 6-tygodniowym pobycie z Rabsztyna, a 31 dzieci z huty „Zgoda“ i „Florian“ wyjechało na nowy 6-tyg. wypoczynek.
- 3 VII. b. r. — 57 dzieci z huty „Piłsudski“, Warsztatów Przetwórczych, z huty i stalowni „Batory“ wyjechało do Jastrzębia-Zdroju.
- 5 VII. b. r. — 109 chłopców z kop. rudy, „Dębieńsko“, Katowice“ i huty „Silesia“ wyjechało do Górek Wielkich. 60 dziewcząt z kop. „Mysłowice“, „Katowice“, Warsztatów Przetwórczych i Centrali wyjechało do Łomnej Górnej, gdzie zabawią 4 tygodnie.

Od dn. 15 V b. r. do tej pory wyjechało na kolonie 440 dzieci. W przygotowaniu są wyjazdy na kolonie:

- 2 VIII. b. r. — 80 dzieci do Jastrzębia,
3 VIII. b. r. — 120 chłopców do Górek Wielkich,
3 VIII. b. r. — 60 dziewcząt do Łomnej,
9 VIII. b. r. — 30 dzieci do Rabsztyna,
18 VIII. b. r. — 50 dziewcząt do Rabki,
na które można jeszcze wpisać zgłaszać.



D Z I Ś P R A C U J E M Y N A F. O. N.

Pod tym hasłem pracowała cała załoga huty „Laura“ wraz z urzędnikami w dniu 24 czerwca b. r. ofiarowując cały swój dzienny zarobek na cele Funduszu Obrony Narodowej. Łączna kwota tej ofiary wyniesie 12.500 zł.

Nie wątpimy, że dzielnym robotnikom i urzędni-

kom huty „Laura“ towarzyszą słowa szczerego uznania wszystkich pracowników Wspólnoty Interesów i całego społeczeństwa.

P. S.: Zdjęcie załączone przedstawia bramę główną huty „Laura“ w dniu ofiarnej pracy.

HUTA „LAURA“ SIEMIANOWICE. W dniu 25 czerwca b. r. odbył się koncert chóru Huty „Laura“ w siemianowickim Pszczelniku. Przy pięknej pogodzie tłumy publiczności podążyły do Pszczelnika miejscowego pięknego parku hutniczego. Magnesem — który ciągnął ludzi w tę niedzielę do Pszczelnika — był zapowiadany koncert ogólnie lubianego w Siemianowicach chóru, oraz występ naszej reprezentacyjnej orkiestry Huty „Piłsudski“ z Chorzowa.

Koncert stał na wysokim poziomie, pomimo że park wypełniony gwarem niedzielnej publiczności, nie jest odpowiednim terenem na popisy śpiewacze. Z obfitego programu koncertu najlepiej wypadła przepiękna „Wschodnia opowieść“ Prosnaka, potężna pieśń przy akompaniamencie orkiestry, z solową partią tenorową, wykonaną przez znanego tenora katowickiego p. Tadeusza Kostulskiego. W przerwach przygrywała nasza znakomita orkiestra Huty „Piłsudski“, która już swym pięknym wyglądem zewnętrznym porywała serca i oczy tłumnie zebranej publiczności.

U W A G A !

Uprzejmie zawiadamiamy, że Referat Społeczny od dnia 3. VII b. r. zajmuje lokal przy ul. Kościuszki 47 (wejście od Rymera 2).

Wszelką korespondencję do Referatu Społecznego należy kierować do gmachu Centrali przy ul. Kościuszki 30.

Telefonicznie można łączyć się przewodem wewnętrznym Zarządu Centralnego Nr 249 lub przewodem pocztowym Nr 359-41 i 359-42.

Jednocześnie podajemy, że w Referacie Społecznym należy zwracać się:

1. w sprawach ogólnych — do p. E. Sikorskiego;
2. w sprawach redakcyjnych „Wspólnoty Dążeń“ — do p. arch. Domiszewskiego;
3. w sprawach opieki społecznej i przysposobienia gospodarczego kobiet — do p. Szymkowiakówny;
4. w sprawach chórów, orkiestr, administracji „Wspólnoty Dążeń“, czasowiska w Korbielowie i Osiedla Wypoczynkowego w Chłapowie — do p. Pliszewskiego;
5. w sprawach czasowisk w Ułazkowcach i Podhorodkach — do p. Basisty;
6. w sprawach wycieczek — do p. Makowskiego i p. Skrzeka;
7. w sprawach kolonii dla dzieci — do p. Skrzeka.

Jeśli nie wyjechałeś na wczasowisko
wyjedź choć w niedzielę i wypocznij !!



REDAKCJA I ADMINISTRACJA »WSPOLNOTY DAŻEŃ« — KATOWICE, UL. KOŚCIUSZKI 30
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY | KIEROWNICTWO LITERACKIE I GRAFICZNE | Drukarnia Narodowa
EUGENIUSZ SIKORSKI | ARCH. WŁADYSŁAW DOMISZEWSKI | W KRAKOWIE
